Nr. 38. 20. Listopada 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼

MARYA.

Szkic powieściowy.

Ciąg dalszy.

II.

Rok ten 1796 i następny byłyto lata politycznych i wojennych niespodzianek. Najpiękniejsze armie austryackie, najdzielniejsi jenerałowie, bezskutecznie występowali przeciw zwycięzkim zastępom republikańskiej Francyi i ich młodemu jenerałowi. Pobity pod Castiglione Wurmser, szukał schronienia w murach Mantui; nadciągające pod jenerałem Alvinci wojsko mcesarskie ponosiło klęskę po klęsce; nareszcie Mantua musiała się poddać. Ścigany nowy wódz austryacki krył się w górzystej Karyntyi. Przyległe Lombardyi państwa włoskie spieszyły z przyjęciem niekorzystnych dla siebie warunków pokoju.

Otóż w głównych zarysach wypadki wojenne i polityczne we Włoszech od owej nocy zaszłe. Dodajmy że tymczasem organizacya legionów polskich we Włoszech znacznie postąpiła, że konferencya w Bukareszcie poparta przez przychylne rządy, uzbrajała się coraz groźniej, a łatwo nam będzie pojąć, co się w kraju działo. Wiadomości o zwycięztwach Bonapartego z niesłychaną wówczas szybkością przedzierały się przez kraje nam nieprzyjaźne, krążyły od wsi do wsi, od ust do ust, a żywa wyobraźnia nasza i niecierpliwe w nieszczęściu serca ubierały każdą wieść w szczegóły dla nas najpomyślniejsze, upatrywały w drobniejszych nawet wypadkach doniosłość stanowczą, pomieszały prawdę z pozorami, fakta pewne z wieściami niepewnemi i w szlachetnem uniesieniu już widziały zastępy oswobodzicieli nadciągających od południa i zachodu, aby przywrócić do życia otrętwiałą chwilowo Polskę. Radość i uniesienie były powszechne. Ale jak dawniej przed każdym rozbiorem z założonemi rękami wierzyliśmy, że Europa Polsce upaść nie da, tak i teraz opanowała nas pewność, że Francya własnemi siłami ją dźwignie.

Niepomni, że w polityce to tylko stanowi potęgę, co siły okazuje, że tylko ten naród znajdzie sprzymierzeńca który się na takowego nie spuszcza, zmarnowaliśmy wtedy siły narodowe na hulackiem okazywaniu radości, na drwinach, na pojedyńczych burdach. Nadzieje były wielkie, ale były bierne, nie przymusiliśmy rządu francuzkiego do stanowczego podjęcia sprawy naszej — a tak jenerał Bonaparte podpisał w Leoben dnia 17 kwietnia 1798 punkta przedugodne pokoju, w których o Polsce mowy nie było, a które w październiku tegoż roku miały służyć za podstawę stanowczego pokoju wnet po układach w Leoben.

Pod wieczór czerwcowy, luby trzyletni chłopczyna uganiał się na dziedzińcu jednego z dworków ulicy piekarskiej za czarnym psem, który poznawszy się na żartach, różnemi skokami i kluczkami to wymykał się z pod razów nieszkodliwych dziecięcia, to znowu wracał do nóg jego, niby wyzywając go do dalszych zaczepek. Figlarne groźby chłopczyka, jego śmiechy i zamachy wywoływały niekiedy łagodne przestrogi matki obok siedzącej, lękającej się, aby nie upadł, nie skaleczył się. Zresztą nie było nikogo na dziedzińcu; czasem tylko który ze sług ukazał się na nim przechodząc do stajni, do krowiarni, do sadu w tej chwili puchem różowawym okrytego. Oświetlenie wieczorne, woń rozlewająca się z ogródka i świegotanie ptasząt miłemu przez się obrazowi nadawały urok spokoju i szczęścia. Lecz nie spokój, nie szczęście tylko cierpienie i smutek odbijały się na bladej, owalnej twarzy matki chłopczyka, a przyćmiony połysk ciemnego jej oka zdradzał, że na dnie jej duszy była gorycz, był żal, a kiedy czasem uśmiech wywołany figlami dziecięcia przeleciał przez jej usta, to wnet znów ustąpił wyrazowi niespokoju i pewnego oburzenia. Często gdy wzniosła jej postać wstawała z ławki, na której siedziała i pewnym krokiem zaczęła przechadzać się po dziedzińcu, wtedy w każdym jej ruchu malowała się burza wewnętrzna poprzedzająca w chwilach ważnych powzięcie postanowienia.

— Coś niedobrze się święci!— rzekł stary Jędrzej do siebie, złażąc z drabiny od strychu z wiązką siana na plecach — a przecież Władyś nam zdrów i wesół! Pewno z panem majorem nie najlepiej. — Chciał się zapytać pani swojej czy też nie ma wiadomości od niego, ale nie śmiał w tej chwili, bo ją widział tak zasmuconą i zadumaną.

Wtem furtka od ogrodu otworzyła się, odezwał się Władyś z radośnym okrzykiem, pies kilkoma skokami spieszył do wchodzącego. Był to pan de Saint Preux.

Pani Karnowska przyjęła wicehrabiego w sposób w jaki witamy znajomego, którego dłuższy czas wyglądaliśmy, ale w jej przywitaniu było coś urazy, coś zarzutu. Był on od wydalenia męża, to jest od ośmiu miesięcy powiernikiem jej w sprawach publicznych,

z których wiele szło przez jej ręce, a szlachetny i poetyczny charakter jego, wzniosły pogląd na wszystko, wnet uzyskały całe jej zaufanie. Niebyło już trosk domowych nie było pociechy, którejby nie był uczestnikiem. Wszak on to zawsze umiał pocieszać duszę niespokojną o los męża, usuwać zwątpienie, wskrzeszać nadzieje, wszak on nietylko słowem i obietnicami, ale ciągłym narażeniem własnej osoby, niezmordowaną czynnością miał udział w sprawie, której się poświęcił z całą energią człowieka czynu. Jakże nie zwierzać się przyjacielowi męża, wysłannikowi przyjaźnego nam narodu, mężowi, który był przedmiotem czci dla wszystkich osób, których ceniła, którego wzniosłe katońskie zasady zgadzały się z ideałami, jakie od młodych lat w głębi serca pieściła, a które tylko mąż jej i on w osobach swoich urzeczywistniali.

Pan de Saint Preux wierny dotychczas danemu sobie i majorowi słowu chyba nadto wielką ogl̨ędnośćią zdradził uczucie swoje, ale ta ogl̨ędność, to zachowywanie nadto ścisłe form konwencyonalnych, można było położyć równie na karb nawyknienia, jak też uważać za delikatne unikanie pozorów, na jakie stosunki ściślejsze z jego osobą panią Karnowską narazić mogły. Co w głębi serca czuł, ukrywał dotychczas, a przecież to uczucie jego przy bliższem poznaniu pani Karnowskiej stało się coraz silniejszem. Ale uwielbiona przez niego kobieta miała rywalkę w myśli o wielkości Francyi, a wzmagająca się w nim namiętność dla żony przyjaciela ustępowała często uczuciom patryotyzmu i zajęciu się sprawami, które dla niego były świętemi. Myśli jego unoszące się w przyszłość dwóch wielkich narodów, już nie z taką siłą wracały do przedmiotu, który inaczej byłby zajął całą duszę, całe serce jego.

— Dobrze, żeś pan przyszedł — wyglądam pana od trzech dni pełnych niespokoju i zwątpienia. — Niech się pan nie tłumaczy, wiem jak rzeczy stoją — mogłabym mieć do pana urazę, że tak długo ukrywałeś przedemną to, o czem wiedzieć musiałeś: — że odtąd na was liczyć nie możemy.

Wicehrabia ubodzony słusznością zarzutu, równym jak i ona przejęty niespokojem — rzekł z wyrazem goryczy: Nie Francya was opuszcza, tylko jej armia; nie armia, tylko młody ambitny wódz, który opanowawszy wojsko wnet opanuje rząd, ojczyznę, opanuje świat cały dla siebie, dla samego siebie. Opuścił sprawę waszą, bo nie może mu służyć za szczebel do przyszłej jego wielkości — lecz daruj pani: nie nam wykreślać drogę, którą sobie może sam jeszcze nie wytknął — czy masz pani wiadomości jakie?

— Wejdźmy do pokoju, Katarzyno, uważaj na Władysia.

Chłopczyk nie chciał wypuścić ręki pana de St. Preux, który się często z nim pieścił.

— Niech pójdzie z nami - prosił tenże — wszak nam przeszkadzać nie będzie? Nieprawdaż Władysiu?

— Nie będę, nie będę—upewniał chłopczyna podskakując z radości.

Pokój w którym pani Karnowska zwykle przyjmowała gości był obszerny i jasny. Tworząc róg miał okna na dwie ulice. Sprzęt zwykły szlachecki, kanapa z okrągłym stołem i tuzinem krzeseł, ogromna sofa, lustro dość wielkie, kilka stołów, komoda z porcelanowym przyborem kawianym, srebra w szklannej serwantce obok różnych błyskotek ustawione, kilka portretów w ramkach mahoniowych, obraz Najświętszej panny z dzieciątkiem Jezus na rękach, pod nim krzyż hebanowy z męką pańską sztucznie ze słoniowej kości wyrzeźbiony, perkalowe nareszcie w duże kwiaty firanki i ściany białe dadzą nam wyobrażenie o wnętrzu domu państwa Karnowskich. Wybredna czystość panowała w całym domu a nienaruszony porządek naznaczył każdej rzeczy miejsce na zawsze niezmienne.

— Pytałeś mię pan — rzekła pani Karnowska — czy nie mam wiadomości od męża. — Mam niestety niedobre; jest i dla pana liścik. To mówiąc przezornie zasunęła krótsze u okien firanki muszlinowe, a zbliżywszy się do kanapy, odśrubowała jednę z czarnych kul, które tejże poręcze ozdabiały. Pod śrubą tej kuli była wydrążona kryjówka umyślnie na papiery przeznaczona. Z tejto kryjówki dobyła zwój papierów, rozwinęła i kilka z niego listów wyjęła.

— Oto list od Władzia do pana — rzekła, podając papier panu de St. Preux.

Saint Preux otworzył list i czytał następujące słowa:

— »Odkąd nas doszła wiadomość o ugodzie w Leoben zawartej, położenie nasze staje się coraz gorszem, nadzieje nasze wątleją. Nie wiemy czego się po Francyi spodziewać mamy, i jakie są zamiary rządu rzeczypospolitej. Łudziliśmy się jeszcze nadzieją, że pokój stanowczy do skutku nie doprowadzi się, że chwilowe położenie Francyi i wojska jej przynagliły jenerała Bonapartego i dyrektoryum do kroku, którego pojąć nie możemy. Konsul w Bukareszcie pan Carra Saint-Cyr stara się wszelkiemi sposobami wyprowadzić nas z błędu. — Więc opuszczacie nas, więc zostawiacie nas własnym siłom? — Gdzież owa polityka wielkiego kroju, o której tyle rozprawiacie, gdzież owa misya oswobodzicielska, którą sobie przypisujecie? — Już zdrowy rozum powinien was przestrzedz, że opuszczona od wszystkich, osamotniona rzeczpospolita ostać się nie może. Szkoda ofiar, które ponieśliście, szkoda krwi bezowocnie rozlanej: koalicya po koalicyi powstanie przeciw wam, a połączone siły Europy pokonają nareszcie świeżo powstałą potęgę Francyi. Bo Francya nie ma sprzymierzeńca nie tylko w gabinetach, ale również u ludów. Nie możemy pojąć polityki, która odrzuca rękę jej podaną, nie chce utworzyć sobie sprzymierzeńca gotowego do wszelkich ofiar, która poczyniwszy pierwsze kroki, opuszcza szlachetny naród śród przygotowań jego do odzyskania dawnego bytu, dawnej potęgi. Wszak żądamy od was tylko pierwszej pomocy, reszty sami dokonamy. Dotychczas wyglądaliśmy zbawienia od was, czyż mamy go szukać gdzieindziej? Wszak ten, który teraz dzierży największą

część ojczyzny naszej — okazuje przychylność — wypuszcza na wolność więźniów naszych — oświadcza się, że jest gotów naprawić krzywdę nam wyrządzoną — czy mielibyśmy...

Gdy pan de Saint Preux ostatni ustęp półgłosem odczytał, silny rumieniec wystąpił na lica pani Karnowskiej.

— Niech pan czyta — tak Władysław pisać nie mógł; myśl podobna w sercu jego powstać nie mogła, a od nich podana wywołałaby w nim oburzenie.

— Bądź pani spokojna — odpowiedział pan de Saint Preux — groźba to dyplomatyczna, nic więcej. Niestety, zarzuty, jakie nam czyni są słuszne. Oby one zdołały odwrócić rząd rzeczypospolitej od zgubnej jego polityki; — bo owa groźba rzucona z rozpaczy nie wpłynie bynajmniej na postanowienia jego. Rząd — mówiłem — rząd, — dodał z niespokojnością — tu nie ma mowy o rządzie, cała władza we Francyi skupiła się teraz w rękach młodego bohatera, już nie dyplomacya kieruje nią na zewnątrz, tylko wypadki wojenne — i wola zwycięzcy.

— A przecież, przecież Władysław nie dyplomata — rzekła drżącym głosem — a choćby... podobnej groźby nie użyłby nigdy.

Pan de Saint Preux czytał dalej:

»Nie moje ci tu wynurzam myśli, piszę z polecenia marszałka naszego jenerała Ksawerego Dąbrowskiego wynurzam ci uczucia, które nami miotają. Niespokój i oburzenie nasze doszły do najwyższego stopnia. Piszę do ciebie, bo w Tobie jednym mamy jeszcze zaufanie. Przestrogi i napomnienia, dochodzące nas z Paryża jątrzą nas, a roztropne rady pana de St. Cyr wprawiają nas w gniew i rozpacz. Wszak on to pierwszy podał nam myśl uciekania się do łaski cara — on — Francuz — dyplomata francuzki mógł przemówić do wojska polskiego w sposób, który niewiedzieć czy nazwać obrazą czyli niedorzecznością. Wiemy dobrze że biegu wypadków nie odwrócisz, że politykę Francyi nie odmienisz; ale jesteśmy przekonani, że układy, w które weszła są tylko pozornemi, są potrzebą chwili obecnej, że stanowczego pokoju nie będzie, że nam upaść nie dacie. Ale nam potrzeba nadziei, potrzeba otuchy. Tobie dalsze zamiary dyrektoratu muszą być wiadome, a jeśliby tak nie było, to przynajmniej dyplomatyczne zdolności twoje odgadnąć je potrafią. Uspokój nas, przywróć nam wiarę w przyjaźń Francyi, wiarę w skuteczność usiłowań naszych; bo i jedna i druga zachwiały się; siły moralne opuszczają przewodzców — wnet zachwieje się także wiara wojska — poświęcenie nasze zmarnieje — nadzieje spełzną na niczem. Poradź, uspokój nas, ratuj!

Po odczytaniu tego listu nastąpiła pauza. Pan de St. Preux zaczął przechadzać się po pokoju, pani Karnowska oparła głowę na ramieniu i ciche łzy roniła. Czekała na słowo pociechy — na kroplę balsamu dla rozjątrzonego serca swego.

— Czy zeszliśmy już na to — rzekła z oburzeniem — że naród żyje o żebranym chlebie, czy go już nie stać na siły, aby sam sobie wystarczył — wyciągać rękę do wroga, ponieważ obłudna przyjaźń nas zdradza! Poddać się — nie wyrokom losu, ale łasce tego — co... Uświęcić samemu zbrodnię popełnioną! — O Boże! Czyż już wszystko stracone?...

Nastąpiła chwila milczenia, walki uczuć gwałtownych u wicehrabiego, chwila rozpaczy u pani Karnowskiej. Cokolwiek sama, cokolwiek rodzina jej i kraj pomsty, krzywd i poniżenia poniosły, stanęło żywo w jej pamięci. Okrucieństwa ostatnich wojen, zgwałcenie praw, podstępna przyjaźń jednych, obłudna opieka drugich, popalone dwory i wioski, napełnione więzienia — Sybir — Praga — a obok tego bohaterskie czyny i poświęcenie w ostatniej walce, szlachetny zapał narodu, gotowość do wszelkich ofiar, odrodzenie się wielkim czynem — cokolwiek czyniło upadek nas wzniosłym, przemoc oburzającą — stanęło żywo przed jej duszą. Wszak jej rodzina, jej mąż, ona sama brali żywy i świetny udział w ostatnich wypadkach i padli ofiarą poświęceń swoich. Los ojczyzny był losem tylu a tylu rodzin naszych; wielkość w upadku jedyną pozostałością naszą, duma w nieszczęściu ostatnim naszym skarbem. W tej dumie zamykała się godność nasza, była nasza jedyna pociecha, była rękojmia naszej przyszłości. — A teraz i tego klejnotu zrzec się zamyślano — a mąż jej, choć sam nie miał udziału w kroku rozpaczliwym, który się gotował na Wołoszczyźnie, mógł donosić o nim bez oburzenia, bez zgrozy. Gorycz i żal wydzierały sobie na przemian jej duszę.

Tymczasem chłopczyk widząc matkę zasmuconą nieśmiało zbliżył się do niej, a oparłszy się na kolanach jej, głosem pełnym współczucia zapytał, czemu płacze?

— Nieszczęśliwe me dziecie! — zawołała z wybuchem rozpaczy, tuląc chłopczyka do serca swego — bądź spokojne — masz matkę, masz — ojca — nie damy ci wydrzeć ostatnich skarbów twoich.

— Uspokój się pani — wszak...

— Nie żądam pociechy, panie de Saint Preux — przerwała mu z godnością — żądam pomocy. Chcę widzieć się z mężem, muszę się z nim widzieć. Jestem pod ścisłym dozorem. Stosunki pana ułatwią mi przedarcie się do Wołoszczyzny Tej pomocy żądam od wysłannika rzeczypospolitej francuzkiej — tej pomocy mi nie odmówi.

Wicehrabia spodziewał się podobnego postanowienia i rzekł z wzruszeniem.

— Nim rozstrzygniesz o losie męża, o losie swoim, pozwól abym ci powiedział — że od Francyi w tej chwili żadnej pomocy spodziewać się nie macie — że zostałem odwołany od rządu mego, że w tych dniach mam zerwać stosunki z komitetem tutejszym, wpłynąć na członków jego, aby go rozwiązali i dalszych kroków zaniechali, póki pomyślniejszy skład polityczny nie pozwoli rzeczypospolitej udzielić pomocy, jakiej wam teraz odmówić jest przymuszona. —

*

Sam zaś mam się udać na Węgry do Bukaresztu, porozumieć się z konzulem naszym w celu, aby konfederacyę powstrzymać od nieroztropnych kroków i nakłonić ją do rozpuszczenia zebranego żołnierza— albo do — poddania się carowi Pawłowi.

— Więc odmawiasz pan prośbie mojej? — zapytała z dumą pani Karnowska.

— Nie odmawiam, pojutrze wszystko będzie gotowe do wyjazdu pani. Jutro udzielę pani bliższych szczegółów.

— Dziękuję panu, tylko miej na względzie, że z synem pojadę. — A więc do zobaczenia.

W naznaczonym dniu wszystko było gotowe. Pani Karnowska wyjechała na Węgry i Siedmiogród do Bukaresztu; nie wiedziała jednak, że pan de St. Preux od granicy węgierskiej za nią jechał.

(*D. c. n.*)

SAŁDAT.

Stali dokoła obrońcy ojczyzny,
Których za trudy, ofiary i blizny,
Czekała wieczna, a straszna niedola,
I od niedoli smutniejsza niewola.

Jeden w rozpaczy załamywał dłonie,
Inny spoglądał ku rodzinnej stronie,
Inny się modlił, a inny na boku
Ocierał smutny łzę błyszczącą w oku.

Obok strasznego boleści obrazu
Stał żołnierz równie w niewolę pojmany,
Równie na wieczne cierpienie skazany,
Lecz w nim nie widać rozpaczy wyrazu
On się nie troszczy jaki los go czeka,
I całkiem suchą jest jego powieka

Może on czucie utracił w tej dobie,
W której ojczyzna w świeżym była grobie,
Może miał duszę niezwalczonej siły,
Lub serce zimne nakształt lodu bryły?
Dość że zwątpienie panuje do koła,
A męztwo, śmiałość błyszczy z jego czoła.

Otwarto bramę głuchego więzienia,
Aby stósownie do zwycięzcy woli,
Dopełnić jeńców opłakanej doli,
Pognać każdego w miejsce przeznaczenia.

I tak jednego oprawcy nieczuli
Na wieczne czasy do taczek przykuli,
Innego w zimne odesłali kraje,
Inny tu w lochu na zawsze zostaje,
A ten co w murach ciemnego więzienia
Zachował stałą pogodę wejrzenia.
Bezpieczny? może... wróci do swej chaty?
Ach nie! on pójdzie... daleko — w sałdaty

Los ten dotkliwy nie smuci go przecie,
Wspiera go jakaś siła niespożyta,
Jak najweselszy, najszczęśliwszy w świecie,
Zbliża się, kłania, i starszego pyta:
— Jakież są nowe powinności moje?

— Ślepe poddaństwo, i trudy i znoje,
Rzekł ten, na warcie stać będziesz czas długi,
Rano na moje pospieszysz usługi,
Zrobisz porządek z odzieżą i bronią
Potem cię znowu na musztrę pogonią,
Potem z ościami dadzą kawał chleba...
Płakać nie wolno — śmiać się nie potrzeba.

Słysząc to biedak przecie się nie smucił,
Przystał na wszystko, piosenkę zanucił,
I obcą szatą na zawsze odziany,
Nieraz wśród swoich błądził niepoznany.

Przeszło lat kilka w smutku i niedoli,
Dla jednych szybko, dla drugich powoli,
Pójdźmyż obaczyć co się z tymi dzieje,
Którzy z wolnością straili nadzieje.

Temu co płakał, nie oschły powieki,
Ten co się modlił, już spoczął na wieki,
Tamten oszalał co wciąż łamał dłonie,
A sałdat? — w którejż pozostaje stronie?
Zawszeż wesoły? jakaż jego dola?

Ma iść na Kaukaz — taka cara wola...
Może kto teraz smutek w nim wyczyta...
Zbliża się właśnie i starszego pyta:
— Jakież tam będą moje powinności?

— Podbijać ludy co żyją w wolności!
A sałdat na to: — Niech pierwej po swiecie
Wicher sybirski me kości rozmiecie,
Niegdyś choć dzieci płakały i żona,
Walczyć za wolność pospieszyłem przecie,
Dziś miałbym wolne ujarzmiać plemiona?
Nigdy!...

Stanęli śród grobowej ciszy—
Zginął towarzysz od kul towarzyszy. —

S.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk
Poznańskie.

(Ciąg dalszy.)

Oprócz prac tego rodzaju, których podjęcie i wykonanie pozostawione jest tylko dobrej woli każdego pojedyńczego, przedsiębierze Towarzystwo przyjaciół nauk i połączonemi siłami różne takie zadania, których przywiedzenia do skutku pojedyńczą siłę prywatną przechodzi. Spraw podobnych kilka jest w biegu. Ukończyć ich w tak krótkim czasie oczywiście było dotąd niepodobno. Ale się rzeczy coraz bardziej zbliżają do celu. Tak np. zamierzyło Towarzystwo wygotować szczegółowy i zupełny opis W. X, Poznańskiego pod względem statystycznym, historycznym i archeologicznym. Chodzi tu nietylko o zgromadzenie tego wszystkiego co w przedmiocie tym dotąd ogłoszono drukiem, lub coby się jeszcze po archiwach poznańskich dało odszukać, ale mianowicie o zebranie na miejscu wszelkich zgoła dotychczas nieznanych wiadomości o każdej choćby najmniejszej osadzie. Wyznaczona jest do tej pracy komisya, która chcąc zadaniu zupełnie odpowiedzieć, znosi się z obywatelami w każdym obwodzie Xięstwa uproszonymi do współdziałania. Za ich to pośrednictwem nagromadzenie potrzebnych dat o każdym pojedyńczym punkcie Xięstwa Poznańskiego znacznie już ma być posunięte.

W związku z powyższem przedsięwzięciem zostaje zapowiedziane samemi już statutami stałe i kolejne wysyłanie komissyi z ramienia Towarzystwa na wszystkie takie miejsca, które się pod względem archeologicznym zdają zasługiwać na szczególniejszą baczność. Jeżeli w jakiej polskiej prowincyi, to w dzisiejszem Xięstwie Poznańskiem, pełno jest cmentarzysk z czasów jeszcze pogańskich, w których się wykopują urny i różne inne przedmioty najodleglejszej starożytności, w znacznej części nieodgadnionego dotąd jeszcze przeznaczenia. Co wieś prawie, w niektórych okolicach spostrzegasz to wzgórze założone wielkimi kamieniami, wyraźnie układanymi ręką ludzką i podług pewnej intencyi, to szczątki jakichś uroczysk czy miejsc obradom ludowym przeznaczonych, gdzie wpuszczone w ziemię w różnych kierunkach, ale podług wyraźnej normy jakiejś, głazy surowe świadczą o szczególnem przeznaczeniu owego miejsca, choć się myśl nadaremnie gubi w domysłach, jakie owo przeznaczenie być mogło. Ażeby raz wreszcie trysło jakieś światło pewniejsze na podobne zagadki, to każdy przyzna, że tylko pożądanem być może. Żleby wprawdzie było, gdybyśmy zapominając o sprawach dzisiejszych, o kwestyach bezpośrednio użytecznych i stanowiących o przyszłym losie naszym, zwrócili wyłączną uwagę na same tylko szperania starożytnicze i mieli jedynie otrząsać z pyłu rupiecie dawno minionych wieków.

Byłaby to zabawka prawdziwie godna nieboszczyków wskazanych na rozpadnięcie się w prochy razem z przedmiotami swojego dociekania. Ale skoro nie zalegamy pola i na owych ważniejszych miejscach, które przedewszystkiem czekają skrzętnej ręki patrzącego w przyszłość człowieka, i czynimy wedle sił wszystko, co w położeniu danem czynić można, dlaczegoż nie mielibyśmy dać folgi i tej ciekawości tak naturalnej, tak mimowolnie się w sercu każdego budzącej na widok onych pomników dalekiej wprawdzie, ale nie-obcej i nieobojętnej dla nas przeszłości; dla czegóż nie mielibyśmy choćby tylko spróbować, czy się z tej strony, z odwiecznych mogił i grobów, dotąd milczących, nie da wysłyszeć jakiś głos, wydobyć jaka iskra, któraby może rozświeciła początki zewszechmiar zaciemnione naszego zawiązku narodowego. Tem to wiedzione przekonaniem Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie postanowiło więc w miarę sił i funduszów zająć się tym przedmiotem i za pomocą systematycznie wysyłanych to tam to owdzie komissyi przynajmniej przygotować jakieś rozleglejsze traktowanie archeologii krajowej, a może i wyrobić pewniejsze znawstwo naszej starożytności, które do tej chwili nie wznosi się po nad poziom dylettantyzmu. Zamiar ten nie zdaje się być zbyt trudnym do wykonania, byleby tylko praca nad nim była podejmowana na większą skalę, jaknajwszechstronniej, nie spuszczając nigdy z oka porównawczego dociekania rzeczy. Do tej chwili zjeżdżały komisye z polecenia Towarzystwa na trzy czy cztery punkta archeologicznie ważne w Xięstwie Poznańskiem. Zdjęto plany z topograficznego ich położenia, niemniej spisano i złożono sprawozdania z tego, co się dało wynaleść i rozpoznać. Ostateczny jednak użytek z zajęć podobnych wtedy dopiero będzie mógł być zrobiony, kiedy takich materyałów będzie zgromadzonych więcej.

Inny przedmiot zamiarów Towarzystwa stanowi już to zachowanie od upadku tych zabytków dawnej przeszłości w Poznańskiem, które potrzebują opatrzenia, już też uczczenie imion mężów w owej części dawnej Polski zrodzonych, a wsławionych w narodzie — a to czy pomnikiem czy nagrobkiem czy jakimkolwiek znakiem, odnawiającym ich pamięć. Tu należy np. restauracya kościoła Panny Maryi w Poznaniu, przedsięwzięta i już dokonana na wniosek Towarzystwa. Jestto mała wprawdzie świątynia, ale pięknej struktury w smaku gotyckim, zabytek z pierwszej połowy piętnastego wieku, jedyny w Poznaniu, co się aż do dni naszych ostał w pierwotnej swojej postaci. Stał oddawna opustoszały, każdej chwili groził upadkiem, od lat kilkunastu nie odbywano w nim nabożeństwa. Towarzystwo zwróciło tedy uwagę na potrzebę odzyskania tego kościoła właściwemu przeznaczeniu i przy szczodrobliwej ofierze złożonej przez Xiędza Arcybiskupa, zupełne odnowienie jego już zostało ukończone. Podobnie został już przywiedziony do skutku zamiar Towarzystwa przez jednego z członków poddany, postawienia pomnika dawnemu poecie wielkopolskiemu, Sebastyanowi Klonowiczowi w miejscu jego urodzenia, w miasteczku Sulmierzycach. Koszta pokryto funduszem ze składek, złożonych na ten cel przez obywateli prowincyi. Zapro-

jektowano oprócz tego jeszcze uczynić także, co tylko środki pozwolą, ku wznowieniu czci imienia Staszyca, zrodzonego w Pile, braci Śniadeckich, pochodzących ze Żnina i Ignacego Krasickiego, który lubo przyszedł na świat w innej prowincyi, zakończył jednak żywot jako Arcybiskup gnieźnieński i pochowany jest w tejże katedrze — bez żadnego nagrobku. Wykonanie wszelako tych zamysłów pozostawione dotąd jest przyszłości — nie zbyt dalekiej.

Teraz wspomnieć należy o zbiorach, które się pod opieką towarzystwa i za danem przez nie hasłem tworzą z najrozmaitszych darów przysyłanych ze wszech stron na jego ręce przez gorliwych rodaków.

Tak powstaje muzeum starożytności polskich i słowiańskich; dalej muzeum historyi naturalnej, mieszczące w sobie przedewszystkiem płody przyrodzone kraju polskiego; nakoniec biblioteka towarzystwa Przyj. Nauk. Spieszny i nad wszelkie spodziewanie pomyślny wzrost mianowicie obu muzeów, w tak krótkim czasie, obiecuje Poznaniowi w bliskiej przyszłości posiadanie dwóch bardzo ważnych, zamożnych i pożytecznych zakładów, co tem większej wagi, że zupełnie w Xięstwie zbywa na sposobnościach do rozleglejszego pielęgnowania krajowej i narodowej oświaty, w niedostatku Uniwersytetu. Z pewnym oporem idzie towarzystwu zato sprawa z laboratorium chemicznem. Jakkolwiek zakład ten nie tyle jest przeznaczony rozwijaniu samejże umiejętności w jej coraz szerszych granicach, jak zastosowaniu gotowych jej rezultatów do praktycznych otrzeb prowincyi, a to mianowicie w zakresie rolnictwa: łatwo wszakże zrozumieć, że i w takim razie zakupienie wszelkich potrzebnych przyrządów, najęcie lokalu i opędzanie bieżących wydatków, z praktyką podobnego zakładu koniecznie połączonych, wymaga znacznych funduszów. Jednakże i w tym względzie uczyniono początek. Laboratoryum rzeczone istnieje, chociaż w szczupłych jeszcze rozmiarach, i urządzone jest na wzór podobnych instytutów po niektórych miastach niemieckich, jak n. p. w Tarancie pod Dreznem, w Möckern pod Lipskiem, w Dahme w Brandeburgii, w Berlinie i t. d. Skutki dociekań swoich nad nadesłanymi z prowincyi przedmiotami ogłasza Laboratorium chemiczne w *Ziemianinie*; podtrzymywane zaś jest, jak dotąd, wyłącznym niemal trudem professora Szafarkiewicza.

Do różnych sposobów, jakimi Towarzystwo postanowiło sobie budzić czynność powszechną i zaspokajać potrzeby naukowe najdotkliwiej czuć się dające, należy i ogłaszanie konkursów z nagrodami za najlepszą rozprawę, już to z funduszów własnych wyznaczać się mającemi, już też uzyskanemi z szczodrobliwej hojności pojedyńczych członków. Pierwszy taki konkurs ogłoszony został w r. 1858. Podano do opracowania pytanie trudne wprawdzie i dotąd przez nikogo należycie nie obrobione, ale nader ważne; przedmiot, którego szczęśliwe a wyczerpujące rozwiązanie nie tylkoby przynieść mogło pewną pomoc w przetwarzających się właśnie włościańskich stosunkach prowincyi polskich pod rządem rosyjskiem, ale nieobliczonej byłoby wagi i dla zgłębienia ogólnych dziejów naszych. Wezwano do napisania *Historyi włościan i stosunków ekonomicznych w dawnej Polsce.* Przeznaczono dla zwycięzcy nagrodę w ilości 1000 tal. które były ofiarowane na ten cel przez hr. Augusta Cieszkowskiego. Termin konkursowy ustanowiony był na r. 1860, a więc dano dwa lata czasu na opracowanie wskazanego tematu. Skutek ostateczny wszelako zawiódł oczekiwania towarzystwa. Nikt się z pracą, jakiej żądano, w ciągu tego czasu nie zgłosił. Sprawa zostaje tedy na nowo, pod temiż warunkami, co poprzednio, przedłożoną uwadze światłej publiczności, bez różnicy, w jakiej prowincyi i pod którym rządem kto żyje. Ale termin nadesłania pracy zakreśliło tym razem towarzystwo tylko na rok jeden, do dnia 1 lipca 1861 r. Bardzoby życzyć należało, ażeby materya i praktycznie i naukowo tyle przeważna, znalazła choć tym razem swojego pracownika. W zakresie badań dziejowych polskich, jest to dziś może przedmiot najgoretszej nagłości. Bez historyi włościan nie ma historyi szlachty; a historya szlachty polskiej — to pono prawie to samo, co historya samejże rzeczypospolitej.

A teraz, skreśliwszy obraz organizacyi, zajęć i kierunków działania towarzystwa, przechodzę do wydanego przez nie co tylko pierwszego tomu *Roczników*. Same statuta przepisują, aby towarzystwo w miarę funduszów trudniło się i wydawnictwem dzieł. Rozprawy członków, zródła i materyały do dziejów, piśmiennictwa i starożytności polskich, przekłady pisarzów wzorowych na język polski, przedruki ogłoszonych nawet już kiedyś drukiem, ale rzadkich lub zbyt drogich dzieł ważniejszych — wszystko to wchodzi w zakres działania towarzystwa, jako stowarzyszenia mającego — pod najszczęśliwszemi konstellacyami — zastąpić w kraju naszym niedostatek możnych prywatnych wydawców i rządowych przedsiębiorstw w tym właśnie zakresie. Oczywiście, jeżeli w którym, to w tym osobliwie względzie, postępować może Towarzystwo tylko zwolna; wszystko tu bowiem zależy od funduszów, a te nie mogą być znaczne, polegając głównie na składkach wnoszonych przez członków, których liczba dochodzi tylko do 205. Z tejto przyczyny nie podobno było towarzystwu w ciągu trzech pierwszych lat swego istnienia ogłosić swoim nakładem więcej dzieł, jak oto cztery następujące: *Przyczynki do dziejów polskich z archiwum miasta Wrocławia zebrane przez A. Mosbacha. — Odezwa do rolników W. Księstwa w przedmiocie wpływu nauk przyrodniczych na rolnictwo krajowe. — Wygubienie robactwa pustoszącego gospodarstwo leśne i polne* przez Wł. Szenica; nakoniec *Roczników Towarzystwa etc. Tom. I.*

(*D. c. n.*)

Starsza siostra Zygmunta Augusta.

SZKIC HISTORYCZNY.

(Ciąg dalszy.)

W tej najkrytyczniejszej chwili spadła jej rzeczywiście jakby z nieba pomoc wcale nieprzewidywana. Nieszczęście pięknej i szlachetnej królowej przemówiło nawet do dzikich umysłów nieprzyjacielskich żołnierzy. Własne szeklerskie hufce Martinuzzego ujęły się za uciśnioną monarchinią i wypowiedziały posłuszeństwo swemu buntowniczemu przewodzcy. W przeddzień ostatecznego szturmu na zamek, któryby był nieomylnie poddał królowę w ręce zawziętego wroga, powstał rozruch w obozie, i za przykładem jednej szeklerskiej chorągwi oświadczyły się trzy części armii powstańczej za prawną monarchinią.

Przebiegły Martinuzzi nie stracił ducha. Udowodniona tylekrotnie zręczność i przytomność umysłu nie opuszczała go w najkrytyczniejszych chwilach. Pospieszył osobiście przed zbuntowane szeregi i dobrze obliczoną przemową, połączoną z hojnemi obietnicami, potrafił na chwilę zażegnać burzę i poskromić wybuch żołnierzy, którego się najmniej spodziewał. O zamierzonym szturmie jednak nie mogło być ani mowy. Martinuzzi w jednej chwili zmienił cały dotychczasowy tryb postępowania. Lękając się, aby wieść o rozruchach w obozie nie doszła uszu oblężonych i nie dodała otuchy ciężko zagrożonej królowej, nie wahał się uciec do środka, na jaki mógł się tylko odważyć umysł tak śmiały i energiczny.

Sam jeden bez wszelkiej zbrojnej zasłony i wszelkich traktowań parlamentarskich pospieszył do oblężonej twierdzy, i jakoby opamiętawszy się w porę z własnych wyrzutów sumienia, stawił się przed oblicze zdumionej do najwyższego stopnia królowej i na klęczkach zaczął ją błagać o przebaczenie.

— Nie mogąc oprzeć się dłużej wewnętrznemu głosowi, który mi we dnie i w nocy nie daje pokoju — zawołał z obłudną hipokryzyą — staję przed tobą jako winowajca, lecz sądź mnie nie według przewiny mojej ale według szlachetności i wspaniałomyślności serca twego.

Izabella w pierwszej chwili nie wierzyła własnym swym oczom i uszom, a nie mogąc na razie zhamować swych uczuć wzburzonych, wybuchła cierpkiemi słowy i w dobitny sposób jęła wiarołomnemu opiekunowi wyrzucać jego całe dotychczasowe postępowanie i haniebną zdradę, jakiej się dopuszczał na dziecięciu swego zgasłego dobroczyńcy, który z nizin celi klasztornej wzniósł go do najwyższych zaszczytów w królestwie, i ostatnią wolą przykazał mu pieczą i opiekę nad pozostawioną bez podpory sierotą.

Martinuzzi w skrusze i pokorze przyjmował słuszne wyrzuty królowej błagał ją na wszystko o przebaczenie i na cienie nieboszczyka króla, swego dobroczyńcy, przyrzekał bezwarunkowe nadal posłuszeństwo i uległość we wszystkiem nieograniczoną.

Izabella zanadto miała umysł żywy i otwarty, aby mogła uwierzyć w obłudną skruchę zdrajcy. Domyśliła się od razu, że na to doraźne opamiętanie się zwycięzkiego nieprzyjaciela wpłynęły jakieś ważne powody nieznane. Wszakże w młodej monarchini tkwiło szlachetne i wspaniałomyślne serce Jagiellonów, niezdolne mścić się krzywd doznanych. Przebaczyła mu wielkodusznie, udając nawet, że wierzy w szczerość jego słów i przyrzeczeń i ma go na prawdę za człowieka, co poruszony wyrzutami sumienia, potrafił poskromić dumę w chwili największego jej tryumfu.

Wspaniałomyślność ta nie przejednała naprawdę Martinuzzego. Z obłudną pokorą na ustach ale z piekielną złością w sercu korzył on się przed obrażoną monarchinią. Łzy, które mu cisnęły się do oczu, udawały łzy skruchy, lecz były to właściwie łzy bezsilnej złości i obrażonej dumy.

Pojednany na pozór z królową i przywrócony do wszystkich łask i zaszczytów, przygotowywał się zdawać żądane rachunki i w zupełnej uległości pełnić dalsze obowiązki opiekuna. Tymczasem wcale co innego zaprzątywało jego umysł zuchwały i przedsiębiorczy. Rwało go na przebój powetować co najrychlej pierwszą klęskę doznaną i w tym celu wszedł na nowo w tajne konszachty z dworem austryackim i zażądał zbrojnych posiłków, aby stanowczo obalić rządy Januszowej wdowy, i za umówione w powyżej przytoczonym traktacie korzyści wydać Siedmiogrod w ręce Ferdynanda.

Ferdynand chwycił się skwapliwie tej propozycyi. Opierając się na traktacie z r. 1538, mienił się on zawsze słusznym pretendentem do wszystkich ziem węgierskich, toż bez wszelkich szkrupułów postanowił korzystać z nadarzającej się sposobności i ponawiając pakt uroczysty z zdradzieckim opiekunem królewskim bez wypowiedzenia wojny wyprawił silną armię pod wodzą Castalda, aby poprzeć energicznie sprzymierzeńca i zagarnąć kraj, należą cy do reszty Węgier

Jasny umysł Izabelli domyślił się i tym razem tajnego udziału Jerzego w tym nagłym kroku Ferdynanda. Słuszny gniew jej wybuchł teraz w całej sile i natchnął ją stanowczem postanowieniem. Złożyła na prędce sejm w Eyned, i odrzucając wszelkie względy, wystąpiła z jawnem zaskarżeniem przeciw Jerzemu Martinuzzi. Obwiniała go o zdradę i tajemne porozumienie z Ferdynandem, którego wojska wkraczały właśnie w granice państwa.

Sejm roztrząsnął zarzuty królowej i uznał rzeczywiście przewinę opiekuna. Martinuzzi uzyskał już jednak dosyć czasu, aby na nowo utwierdzić się w dawnej potędze i dawnem znaczeniu. Ufny w siły zbliżających się wojsk austryackich, pospieszył osobiście do Eyned i stanął przed sejmem jakoby dla swego uniewinnienia. Z właściwą też sobie wymową porywającą zabrał głos w gronie rad i po części samem swem pojawieniem się po części jawnemi groźbami potrafił tak dalece zaimponować zgromadzeniu, że cofnęło ogłoszony już wyrok banicyi i postanowiło bliżej roztrząsnąć zarzuty królowej i uniewinnienia oskarżonego.

Lecz na tem skończyło się wszystko. Przewagą swych zdolności i swej nauki wszechstronnej, wpływem swych bogactw i swego znaczenia umiał Martinuzzi coraz więcej przyciągać do siebie stronników, a przejmować postrachem słabsze umysły niechętne. Niebawem znaczniejsza większość senatorów skupiło się otwarcie wobec niego, acałe zgroma-

dzenie ujrzało się powoli poddane zupełnie wpływowi człowieka, którego niedawno sądzić miało o zdradę ojczyzny i spisek z jej najezdzcami.

Tymczasem umiał z tego wybornie korzystać austryacki wódz Castaldo. Nie znajdując nigdzie najmniejszego oporu, zajmował zamek za zamkiem i posuwał się coraz dalej w głąb kraju. Opiekun królewski a zatem i główny dostojnik w królestwie popierał wszelkiemi środkami jego postępy i coraz wyraźniej zrzucał z siebie maskę. Narażona na tyle ciężkich prób Jagiellonka nie czuła się już bezpieczną w własnej stolicy, a wierna swym przekonaniom nie chciała uciekać się do ponownej pomocy tureckiej.

Martinuzzi poczytał już za stósowne wystąpić stanowczo. Stanął przed królową i nie tłumacząc się z ciężkich ciężących na sobie podejrzeń, z obłudnem spółczuciem jął ubolewać nad trudnem położeniem poruczonego swej opiece królewica. Przyjmując spokojnie wyrzuty królowej, przedstawiał jej w jaskrawych barwach niebezpieczeństwo chwili. Tu jednak szlachetna duma i rezygnacya królowej miały go wzruszyć do tego stopnia, że zalał się łzami i rzucając się na kolana jął ją błagać i zaklinać na wszystko, aby nie unosiła się zbytnią wspaniałomyślnością, ale starała się z nieszczęśliwego zbiegu wypadków unieść jakątaką słuszną korzyść dla siebie i swego syna. Radził jej usilnie, aby weszła w układy z austryackim wodzem.

— Teraz jeszcze pora uzyskać wszystko — zawołał przekonywując — Ferdynand nie może zaprzeć się swych dawnych obietnic i zobowiązań. Ale jak zajmie cały Siedmiogrod i Ciebie pani ujrze bezsilną i opuszczoną, gotów cofnąć wszystko, a nawet twa suma oprawna przepadnie niepowrotnie. O oporze niema co myśleć, twoje siły uszczuplają się z każdym dniem, a obca pomoc zawiodła już tyle razy, że szaleństwem byłoby budować na nią w tej chwili.

Mimo wszelkiej nieufności do zdradzieckiego dostojnika, nie mogła królowa oprzeć się jego wymownym przedstawieniom. Zezwoliła na układy, których podstawą miało być zupełne zrzeczenie się Siedmiogrodu i reszty ziem węgierskich.

Martinuzzi pospieszył co rychło do obozu Castalda. Uległość Izabelli wywiązywała go z przyjętych względem Ferdynanda zobowiązań i pozwalała cieszyć się już w bliskiej perspektywie przyrzeczonem arcybiskupstwem strygońskim i kardynalskim kapeluszem. Snać jednak nie ze wszystkiem wygasła w nim pamięć dla swego nieboszczyka króla dobroczyńcy, bo traktując z Castaldem w imieniu Izabelli, nie zapominał o jego synie pozostałym.

Po długich i opornych naradach z wodzem austryackim udało mu się odnośnie do napomknionego kilkakrotnie traktatu z r. 1538 wymódz dość jeszcze korzystne warunki dla królewskiej wdowy i sieroty.

Zrzekając się na zawsze wszystkich praw do Węgier i Siedmiogrodu zobowiazywała się zarazem Izabella oddać wszystkie klejnoty koronne Ferdynandowi. Natomiast zapewniał jej Castaldo imieniem pana swego księstwa raciborskie i opolskie na Szląsku i zobowiązywał się powrócić Janowi Zygmuntowi po osiągnięciu pełnoletności całą bogatą prywatną puściznę ojcowską i oprawę matczyną. W myśl dotkniętego powyżej traktatu z r. 1536 miał też król Ferdynand dać królewiczowi własną córkę w małżeństwo, a królowej pozostawało tylko zgodzić się na czas przyszłych zrękowin.

I w tej nowej, po raz już któryś zawieranej ugodzie z austryackim pretendentem nie zaparła się piękna Jagiellonka swego serca szlachetnego, z którego słynęła zarówno na ziemi obcej jak rodzinnej. Na jej usilne naleganie musiał przybyć do umowy wyraźny warunek ostatni, że nikt z jej przyjaciół i stronników nie będzie za wierność swoją karanym lub prześladowanym.

Podpisawszy tę stanowczą umowę, zrzuciła Izabella zupełnie z bark swoich ciężkie brzemię rządów i usunęła się do małego miasteczka Felwincz, zkąd po załatwieniu niezbędnych przygotowań do podróży miała udać się niezwłocznie do swych nowych posiadłości szląskich.

Wszakże zanim miała jeszcze opuścić ziemię węgierską, czekała ją jeszcze w tem odosobieniu nowa przykrość upokarzająca. Czcigodny wódz austryacki, mając traktat podpisany w kieszeni a całe państwo w swej mocy, nie czuł się już obowiązanym do żadnych względów w obec wyzutej z władzy królowej. Na mocy świeżej umowy miała Izabella zatrzymać klejnoty koronne, dopokąd zapewnione sobie xięstwa szląskie nie weźmie w posiadanie. Wbrew temu warunkowi traktatu domagał się obecnie Castaldo wydania klejnotów pod pozorem, że przewóz tak cennych kosztowności w tak odległe strony naraża na mnogie niebezpieczeństwa. Uważając jednak skarb koronny za zakład dopełnienia warunków ze strony Ferdynanda, oparła się Izabella temu żądaniu. Austryacki wódz nie odstąpił od swego, a chcąc bądź jak bądź dostać klejnoty w swe ręce, umyślił użyć przemocy.

Pewnego poranku otoczył z nienacka skromne mieszkanie królowej hufiec hiszpańskich żołnierzy, a sam Castaldo był na jego czele. Przybywał w towarzystwie Jerzego Martinuzzi żądać jeszcze po raz ostatni wydania klejnotów a w razie ponownej odmowy gotował się z góry rozbijać przygotowane do podróży skrzynie i bezecnym gwałtem postawić na swojem.

Jerzy Martinuzzi skłonił się towarzyszeć mu w tej haniebnej wyprawie, aby wymową swą odwieść królowę od bezowocnego oporu i narażenia się na brutalność zwycięzców. W samej rzeczy też powiodło się jego przedstawieniom nagiąć królowę do smutnej konieczności. Przyzwoliła na wszystko i własną ręką dobyła z skrzyni i oddała austryackiemu wodzowi koronę, berło i resztę kosztowności.

W pospiechu chciwości, z jaką pełnomocnik Ferdynanda odbierał do rąk swoich te skarby, odłamał się przypadkiem krzyżyk u szczytu korony, i spadłszy w przytomności wszystkich z głośnym brzękiem na ziemię, „tak się“ —według wyrażenia polskiego kronikarza — „zawieruszył“, iż mimo najusilniejszych starań, mimo najtroskliwszych przetrząsań całej komnaty nie podobna go było odszukać w żaden sposób.

Przypadek ten nader przykre na pełnomocniku austryackim sprawił wrażenie.

— To jakiś niefortunny omen — szepnął półgłosem do Martinuzzego. A i ten mimo całej bystrości swego ro-

zmu i swych rozległości nie wybiegł po za przesądne wyobrażenia swego wieku i zatrwożony podzielił jawnie zdanie Castalda.

— Żeby tylko nieszczęście nie spadało na nasze osoby — szeptał Castaldo opuszczając w widocznem skonsternowaniu mieszkanie królowej i uwożąc z sobą ostatnie znamiona jej monarszej godności.

Izabella nie tyle jakoś wagi przykładała do wróżby domniemywanej i po odejściu Castalda oddała się gorzkiemu rozmyślaniu, w pośród którego zaniosła się rzewnym płaczem. Przyszłe niepewne losy jedynego syna przejmowały boleścią i trwogą jej serce macierzyńskie.

W tejże samej chwili wbiegło dziecię samo w swawolnych poskokach do matczynej komnaty. Ujrzawszy matkę pogrążoną w ciężkim smutku i zalaną łzami, przystanęło kilkoletnie chłopię przestraszone i zasmucone na środku pokoju, jakgdyby się lękało przerywać jej żałość bolesną. Dopiero po chwili posunął się królewic nieśmiało do kolan matki, i wyciągając rączkę ku jej szyi, zapytał śród łez: dlaczego płacze?

— Dziecię moje — wycedziła królowa łkając — miałam ci zachować potężne królestwo i koronę wspaniałą, a oboje postradałam niepowrotnie.

— O jeslić tylko o to chodzi — wykrzyknął wesoło chłopczyna — to nie płacz mamo. Korona nie postradana ze wszystkiem. Pozostał mi z niej kawałek, który i resztę przyciągnie napowrót do siebie.

I mówiąc to wyjął z zanadrza ów krzyżyk z korony, który w tak niewytłumaczony sposób zniknął z przed oczu zdumionego Castalda.

Królowa jakby jakąś nagłą wieszczą przejęta otuchą, otarła łzy z oczu i ściskając czule dziecię, zawołała:

— Schowaj dobrze ten klejnot mój synu. Niech będzie dla ciebie talizmanem, zaręczającym spełnienie tej przepowiedni.

Całe to zdarzenie acz tak bardzo zakrawa na anegdotkę zmyśloną, opowiadają i zaręczają pospołu kilka spółczesnych kronik polskich i węgierskich. Trudno więc przynajmniej co do głównej osnowy podejrzywać jego prawdziwości.

W parę dni potem wyruszyła królowa z kilką obładowanemi brykami na miejsce swego nowego przeznaczenia. Kiedy wsiadała do swej „kolebki“ pojawił się znowu niespodzianie Jerzy Martinuzzi i ofiarował się z własnego popędu odprowadzić królowę aż do granicy. Nie pomna żadnych uraz osobistych, Jagiellonka przyjęła jego towarzystwo i przebaczając niewdzięcznej ziemi, na której tyle ciężkich spotkało ją prób, bez żalu i niechęci także rozstawała się z niedawnymi poddanymi.

W Zillah żegnał Martinuzzi królowę. Pierwsze słowa pożegnawcze nie przekraczały zwyczajnej formy konwencyonalnej, wszakże w dalszym toku, szczególniej po krótkiej rzewnej odpowiedzi królowej, dał się przebiegły dyplomata tak silnemu unieść wzruszeniu, że wybuchł w głośny płacz. Byłyż to łzy wymuszone czy w samej rzeczy wypłynęły z skruchy, a może po części i z żalu za odjeżdżającą monarchinią, pod której rządami osiągnął szczytu swej ambicyi wygórowanej? — zapytuje węgierski historyk Majlath. Namby się zdawało, że to ów urok czarodziejski, który według mnogich świadectw spółczesnych otaczał piękną Jagiellonkę, ogarnął w tej chwili rozstania zimny umysł dumnego mnicha i przejął go szczerem po raz pierwszy może wzruszeniem.

Smutna i rozrzewniona ale bez goryczy w sercu odbywała Izabella dalszą podróż ku granicom Polski, na Polskę bowiem udawała się do swych ziem nowych.

U ostatnich kopców granicznych kazała przystanąć kolebce i z głębokiem rozrzewnieniem wysiadła na ziemię. Chciała ostatniem spojrzeniem łzawych ócz, ostatniem westchnieniem bolejącej piersi pożegnać na zawsze krainę, która miała jej stać się drugą ojczyzną, a na której tyle przykrych i ciężkich przewalczyć musiała chwil.

Kilka minut stała królowa nieruchomo na miejscu, puszczając wodze swym smętnym myślom i uczuciom. Naraz przystąpiła do stojącego przy drodze na małym pagórku drzewa i małym nożykiem podróżnym próbowała pozostawić w korze jakąś pamiątkę po sobie. Szlachetna córa Jagiellonów odebrała wykształcenie, jakie tylko w owych czasach mogły przyswajać sobie kobiety. Mówiła wybornie po łacinie i znała wszystkie celniejsze arcydzieła w tym języku. Dowodziła tego i pozostawiona w korze drzewa pamiątka. Izabella chciała wyryć na niej znany wiersz z Eneidy Wirgila *Sic fata tulerunt*. Co do ostatniego wyrazu zawiodła ją jednak kobieca pamięć i wyryty na drzewie wiersz brzmiał nieco odmiennie:

— *Sic fata volunt!* (Tak losy chcą!)

(*D. n.*)

ZWIERCIADŁO,

w którem obaczy każdy co chce i czego nie chce.

II.

Ręka rękę myje.

(*Z tajnego archiwum domowego pożycia.*)

Wiejski, z gustem urządzony salonik. Na sofie, obitej miękką wełnianą materyą siedzi kobieta o dwudziestu kilku latach. Ma twarz bladą, piękne, szafirowe oczy i prześliczną w złotem haftowany pantofelek ujętą nóżkę. Zdaje się, że kogoś oczekuje.

Zwolna otwierają się drzwi. Wchodzi mężczyzna około czterdziestu lat mający. Ma twarz pełną, rumianą, czoło dotrochę podłysiałe. Z całej jego postaci, która wszędzie dobrze jest wypełniona i okrągła, widać pewny spokój i zadowolenie. Na pierwszy rzut oka poznać szczęśliwego małżonka, który nigdy nie myśli ani o balecie ani o preferansiku. Domowe pożycie wystarcza mu.

Na widok szczęśliwego małżonka zamigotało coś w oczach pięknej kobiety i zgasło. Wyraz znużenia, częstokroć przyjemniejszy od wszelkich zachwytów, ustroił jej twarz melancholiją. Nadmiar szczęścia nuży, słodko nuży.

— Nie myślałam, że tak prędko wrócisz, rzekła kobieta.

Pan Michał otarł wąsy.

— Niecierpliwość oglądania ciebie dzieliły ze mną moje siwki i furman Szymon, odpowiedział mąż całując ją w rękę.

— Tak mówisz jak pan Karol, wtrąciła małżonka.

Małżonek nie spostrzegł przelotnego rumieńca na jej twarzy.

— Czyni mi to zaszczyt, odparł mąż uśmiechając się filuternie.

— Jesteś złośliwy... czy to ten nowy tużurek?

— Jak ci się podoba?

— Szkaradny—czemu nie taki, jak pan Karol nosi?

— Widzisz serce — pan Karol młodszy i jako kawaler musi mieć więcej pretensyi.

— Prawda, prawda... to dowodzi, żeśmy jeszcze kochankowie....

Serdeczny pocałunek zamknął tę piękną scenę szczęścia małżeńskiego. Po chwili, wydzierając się z objęć małżonka rzekła piękna kobieta:

— Nie zgadłbyś, kogo dziś oczekuję.

— Księdza proboszcza —

— Cóżto znowu za koncept?... Panią Piotrowę —

— Pani Piotrowa? powtórzył mąż przypominając sobie coś, co już do szczętu był zapomniał.

— Ach jacy wy wszyscy jesteście! zawołała żona, gdzież można zapominać tak piękną, od wszystkich adorowaną kobietę?

— A prawda, prawda, wycedził mąż, ta mała, fertyczna brunetka, z małym pieprzykiem na nosku.

— Widzisz, widzisz, jak ją dobrze pamiętasz!

— Tak przypominam sobie trochę.

Służący zapowiedział gościa. Otworzyły się drzwi, wszedł młody mężczyzna z miną starego człowieka, z gukierem w oku:

— Ah, pan Karol! zawołała kobieta.

— Jakby pana kto wołał! powtórzył mąż. Będziemy mieli dzisiaj młodą kobietkę, o której moja żona twierdzi, że jest bardzo ładną.

— Zapewne pani Piotrowa, wycedził mężczyzna z gukierem w oku.

— Jak pan wszystko odgadujesz! zawołała gospodyni. Wyobraź pan sobie, mój mąż wcale nie zgadł.

Mężczyzna z gukierem w oku pokręcił wąsika i uśmiechnął się z wielkiem zadowoleniem.

— Nie trudno odgadnąć, o czem wiedziałem, rzekł po chwili. Pan Szymon doniósł mi, że pani Piotrowa dzisiaj wybiera się do państwa. Ta jest przyczyna, że dzisiaj znowu dóm państwa najeżdżam. Inaczej nie byłbym tak natrętnym.

— Jak to sobie tłumaczyć panie Karolu? zapytała gospodyni patrząc na męża. Nie zbyt zręczna pokrywka, że tylko dla pani Piotrowej pan dzisiaj przybyłeś.

Mężczyzna z gukierem w oko skłonił się z znaczącym gestem gospodyni domu, a gospodarzowi podał rękę. Miało to oznaczać hołd oddany domowi, w którym tak mile przebywał.

— Nie mój kochany panie Karolu, rzekł gospodarz, ja nie będę tak niesprawiedliwym jak moja żona. Wierzę, że nie tylko błyszczące oczka pani Piotrowej tu cię sprowadziły. I przyjaźń i sąsiedztwo nasze przyczyniły się coś do tego.

Zaledwie pan Karol mógł ucisnąć rękę gospodarza, drzwi się otworzyły.

— Paulińciu! Paulińciu! krzyknęła gospodyni całując i ściskając serdecznie niską, wysmukłej kibici brunetkę.

Pani Piotrowa uwolniła się z uścisków gospodyni z wdziękiem dziecięcego roztargnienia i zwracając się do mężczyzn rzekła z figlarnym ukłonem:

— Na obecność panów nie byłam przygotowaną. Kobiety nie rade pozwalają patrzeć na siebie, gdy są pod wrażeniem jakiegokolwiekbądź uczucia. A jeżli wypada im dawną, bardzo dawną (tu uśmiechnęła się z wdziękiem niewymownym) odnowić znajomość, to chcą się zaprezentować opromienieni resztkami wszystkich wdzięków swoich. Moja Zosieczka wskaże mi mój pokoik tymczasowy, nie chcę bowiem dłużej wydawać się panom brzydką a może... co gorzej... już nie tak młodą....

Szereg najpiękniejszych żębów okazał się w prześlicznej oprawie. Gospodarz wyrzekł kilka słów grzecznych, pan Karol poprawił gukiera i podkręcił wąsika. Tymczasem już znikły z salonu kobiety — w uszach gospodarza i pana Karola pozostał tylko szum olbrzymiej krynoliny.

— Wiecznie młoda i żywa jak dziecko! rzekł pan Karol.

— Żywa jak dziecko i młoda wiecznie, powtórzył gospodarz.

— Kobietka jak stotysięcy, mówił dalej p. Karol.

Gospodarz na to nic nie odpowiedział, tylko kluczykiem od zegarka się bawił.

Tymczasem w zielonym pokoiku w oficynie śmiechy i chichoty. Pani Piotrowa zrzuca ubior podróżny i bierze suknię jedwabną, mocno wygorsowaną. Gospodyni jest jej pomocną.

— Jakże tu żyjecie na wsi, pyta piękna brunetka.

— Jeden dzień jak drugi, z westchnieniem odpowiada gospodyni.

— Kto u was bywa — prócz pana Karola?

— Panowie: Damazy, Protazy i Gerwazy —

— Czy zna się który na pięknych, szafirowych oczach?

Gospodyni zarumieniła się. Pani Piotrowa z dziecięcem roztargnieniem mówiła dalej:

— Spodziewam się, że te piękne oczy nie są na to stworzone, aby oglądały mleko od krów i młode przesadzone cielęta. Moja duszko, czy hrabia Artiur zawsze tak piękny i tak... tak obcesowy... śmiały — Lubię bardzo śmiałego człowieka, któremu z czoła patrzy, że się niczego nie ulęknie, wszystkiego dokaże, czego chce. —

— Widzę, żeś się wcale nie zmieniła — kozak z ciebie jak dawniej.

— I z tem mi bardzo dobrze, moja duszko. Mężczyzni lubią, gdy się nimi przerzuca jak dziurawemi orzechami. Wtedy klęczy, gdy widzi, że mocna ręka go odtrąca... A pan Stanisław zawsze taki komplemencarz?... Czy pojedzie na zimę do Krakowa?... A wy kiedy się wy-

bieracie?... My będziemy już za miesiąc — jak tylko mój mąż upora się z ukochaną gorzelnią.

Takie i tym podobne rozmowy toczyły się w zielonym pokoiku. Pani Piotrowa zachwycała swoim wesołym humorem, a gdy gospodyni wprowadziła ją wyświeżoną do salonu, czekający tam mężczyzni wyznali szczerze i otwarcie, że wygląda jeszcze młodziej jak przed pięciu łaty, i że jest jeszcze żywszą i weselszą jak wtedy, gdy z swojej żywości i wesołego usposobienia słynęła na całą okolicę.

I w samej rzeczy pani Piotrowa miała we wszystkich swych ruchach coś tak giętkiego, kociego, tak przymilające było każde jej słowo, każde jej wejrzenie, jej dotknięcie się, że mimowołi przyciągała do siebie wszystkich. Miała zwyczaj w rozmowie dotykać się rąk słuchaczy swoich, a każde dotknięcie różowych jej paluszek działało jak iskra elektryczna. Nieoceniona kobietka! mówił w duchu każdy z jej słuchaczy.

— Powiedz mi pani, mówił pan Karol przecierając gukiera, jak to pani czyni, że się wszystkim nadzwyczaj podobasz?

Pani Piotrowa uśmiechnęła się, okazała zdumionemu adonisowi dwa prześliczne dołki, przeciągnęła zmrużone oczka jak milutka koteczka i rzekła:

— Chcesz pan wiedzieć, dlaczego wszystkim podobam się? Oto dla tego, że nie pragnę się podobać!

— *Impossible!* krzyknął pan Karol.

— Ach to właśnie cała nasza tajemnica, odparła brunetka, aby nie pragnąć podobać się. Jest to moje prawdziwe nieszczęście, że jakoś... jakoś... miałam szczęście podobania się wielom. A to dlatego, sądzę, że się wcale nie chcę podobać. Mój mąż jest trochę zazdrośny — otóż wypada mi unikać nawet pozorów. Ale wyobraź pan sobie właśnie doświadczyłam tego, że gdzie najobojętniejszą być chciałam — tam byłam najmocniej adorowaną! Otóż sens moralny gotowy.

Pan Karol przetarł gukiera, pogładził fryzurę i zamknął się cały w filozoficznem milczeniu. Gospodarz wypełniał z systematyczną wytrwałością obowiązki marszałka domu.

Gdy kobiety na chwilę same zostały, rzekła gospodyni.

— Jak ci się podoba pan Karol?

— Jakiś gamoń, odparła żywo brunetka, dobry za podnóżek.

Gospodyni zarumieniła się lekko. Obaczyła to pani Piotrowa.

— Wiesz moją droga, ja to mówię jak *enfant gattè.* Nie bawią mnie mężczyzni, którym z oczu widać, że ich można jak wosk w koło palca owinąć. Mówić mu: „pan pójdziesz tam!“ — niezawodnie tam przyjdzie — „będziesz na mnie czekał na rogu ulicy“ — nie ustąpi z placu choć deszcz i śnieg. „Jutro chcę pana widzieć przez okno“ — będzie cały dzień aż do znudzenia wałęsał się tam i nazad! Cóżto za nudne dla mnie figury!... Ale coś, cośbym ci powiedziała!...

— Cóż takiego?

— Ktoś mnie tu przecież trochę zaintrygował?

- Kto taki... może rządzca...

— *Fi donc!...* ten ktoś był wobec mnie strasznie wiernym swojej żonie...

— Żartujesz...

— A mnie to nadzwyczaj gniewa — wobec mnie...

— Więc się zemścij...

— Może, może... z przysługą dla ciebie...

Gospodyni zarumieniła się.

— Pójdź, *ma chere* niech tego raczka ucałuję, jest on bardzo smaczny — zawołała żywa brunetka i uścisnęła serdecznie przyjaciółkę.

Po obiedzie wyjechali goście. Gospodyni siedziała smutna i zamyślona.

— Więc za dwa miesiące pojedziemy do Krakowa na mieszkanie, ozwała się do męża.

— Tąk, moje serce, odparł tenże.

— Ale wyobraź sobie, co temu trzpiotowi panu Karolowi przyszło do głowy!

— Zapewne jaki kulig!

— Gdzie tam! Szalenie zakochał się w Piotrowej!

— Pędziwiatr!

— I zdecydował się jechać na zimę do Krakowa.

— Hm, odparł mąż, dobrze to wcale nie jest, bo koniec końców cóż ztąd?...

— Szkoda czasu, który traci na podobnych awanturach — mógłby się już ożenić.

— Prawda, prawda — dodał mąż.

Tutaj skończył się poetyczny ustęp życia wiejskiego, zaczęła się proza. Mąż poszedł do gorzelni — gospodyni do czytania jakiejś długiej, nudnej korespondencyi od ciotki czy tam stryjaszka.

Miejski salonik, wytwornie urządzony. Na adamaszkowym fotelu siedzi znajoma nam kobieta o pięknych szafirowych oczach. Przed nią leży książka w czerwony safian oprawna. Z bocznych drzwi wychodzi pan Michał. Trochę przybladł i schudł, na jego twarzy nie ma tego spokoju, tego zadowolenia co na wsi. Przechodzi koło żony, jakby jej nie widział, i zmierza ku drzwiom wychodowym.

— Kochanie moje, zawołała kobieta wstając z fotelu i zastępując mu drogę. Jeszcze nie powiedziałeś mi dzisiaj „dzień dobry“, czyż to się godzi? Niewdzięczny! gdzież idziesz, zapewne do pana Piotra? —

Pan Michał trochę się zmieszał.

— A tak... niby... a tak, zgadłaś moja duszko, cedził zwolna, ale bo właśnie pan Piotr przysyłał po mnie...

Żona spojrzała boleśnie na mówiącego. Po chwili rzekła:

— Jeżli przysyłał, to idź kochanie, tylko powracaj prędko... a kiedy wrócisz?

— Za godzinę, za dwie...

— Dobrze, o pierwszej oczekuję cię.

Pani Michałowa usiadła po wyjściu męża do sekretarzyka i zaczęła pisać. Po chwili zapieczętowała i zawołała służącego.

— Pani Maciejowa pyta, czy może służyć, rzekł służący wchodząc do salonu.

Pani Michałowa zagryzła usta na znak jakiegoś nieukontentowania, schowała list do biurka i kazała prosić.

Pani Maciejowej nie można nie przyjąć. Wie ona wszystko, co się dzieje w mieście i na świecie, a przedewszystkiem wie o wszystkich najskrytszych awanturkach miłośnych.

Po pani Maciejowej przyszły trzy jej podobne matrony. Wielka, niesłychana radość u gospodyni. Ona tak lubi te komeraże!

— Wiesz moje serce, mówiła pani Maciejowa, pan Józef już porzucił wodwilistkę.

— Pani Szymonowa zmienia także przedmiot swoich afektów, wtrąciła druga.

— Przyznam się nie z mięsa ni z pierza, dodała trzecia.

— Sylwia podobała się hrabiemu — hrabina w piekielnej złości.

— Ale moje serce, mówiła znowu pani Maciejowa, jesteśmy w poufnem kółku, powiedz też nam co o twoim mężu.

— O moim mężu? powtórzyła nieśmiało pani Michałowa.

— Wszak cały świat mówi coś o jego afektach dla pani Piotrowej.

Na te słowa spuściła oczy nieszczęśliwa małżonka i zaczęła się bawić złotą bransoletką. Po chwili rzekła:

— Widzę, że smutna tajemnica mego serca stała się głośną. Nie mam więc potrzeby taić ją dłużej przed wami, moje kochane. Tak jest w samej rzeczy — mój mąż nie kocha mnie!

— Nie kocha cię! — krzyknęły chórem sędziwe matrony.

— Takie piękne oczy! dorzuciła pani Maciejowa.

— Taki nos grecki! wtrąciła sąsiadka.

— Te paluszki takie szpiczaste! dodała inna.

— Pani Piotrowa rożuje się!

— Ma sznurówkę watowaną!

I tak dalej ubolewały szanowne przyjaciółki nad losem nieszczęśliwej kobiety.

— Wiesz wpada mi coś do głowy, zawołała pani Maciejowa. Możesz się zrewanżować. Pan Kalixt...

Pani Michałowa podniosła głowę do góry i z bolesnym uśmiechem rzekła:

— Jestem jedną z tych kobiet, które na nieszczęście wierzą, że tylko raz w życiu prawdziwie kochać można i że dlatego mimo wszelkich niepowodzeń serdecznych trzeba wytrwać przy raz obranym przedmiocie. Może się Bóg ulituje nademną i serce jego do mnie nawróci!

Wszystkie matrony westchnęły naraz. Nieszczęśliwa kobieta mówiła dalej:

— Niech to będzie między nami, schwyciłam kilka listów. Czytając je, rozdzierało się serce moje. Tyle pięknego uczucia, tyle uniesień szlachetnych, styl tak poetyczny!... listy te pisane ręką — mego męża!

— Ręką męża! krzyknęły matrony.

— Własną jego ręką! dodała gospodyni.

— I cóż ty zrobisz teraz? Trzeba ukarać ich srogo przed opinią publiczną...

— Ukarać?... broń Boże! zawołała nieszczęśliwa żona. Listy oddam mężowi lub spalę w jego oczach — a do niej pójdę, rzucę się do nóg i zaklnę ją na wszystko święte...

Przyjaciółki przyznały jej słuszność, a że już była pora obiadowa, zebrały się i wyszły, obiecując święcie wszystko w tajemnicy zachować:

W kilka godzin całe miasto mówiło o panu Michale, o pani Piotrowej i o biednej opuszczonej żonie!

Wieczorem siedział pan Michał samotny w swoim pokoiku. Uprosił pana Karola, aby żonę do teatru zaprowadził, a sam rzuciwszy się na miękki fotel, podparł ręką głowę i tak siedział długo w zamyśleniu. Biedny pan Michał! gdzież się podziało to jego zadowolenie, ta twarz rumiana, która tak szczerze uśmiechała się do każdego! Zgarbił się a nawet posiwiał znacznie. Tak późno zaszalało jego poczciwe serce!

Wyjął z pularesika miękki różowy bilecik i czytał:

„Odważyłeś się pan pisać do mnie — lubię ludzi odważnych. Ale cóż mówię, pan gotów to sobie inaczej wytłumaczyć, a my jesteśmy tak słabe, wątłe istoty! Zaklinam pana... coś mi nie daje dokończyć?... A przecież zimna rozwaga... ach jak to boleśnie być koniecznie zimną bryłą lodu! Tak być musi, a nie inaczej... widzisz pan, mam siłę Samsona, cóż panu przeszkadza iść w moje ślady?... Boleśnie, bardzo boleśnie — ale świat, ludzie, stosunki, o sumieniu już nie wspominam, bo kobieta nie wzdrygnie się przed żadną ofiarą, jeśli ta tylko od niej samej zależy... Zapomnij o Paulinie, która cię o to ze łzami błaga...

Przeczytawszy te słowa, zerwał się pan Michał, zrzucił z biurka raporta gorzelniane, wyjął ćwiartkę różowego papieru i zaczął pisać:

„Kobieto demoniczna! Twoje czarne, błyszczące oczka oczarowały mnie. Nie poznaję siebie, nie wiem co się ze mną dzieje. Dotknięcie twojej rączki zatruło cały mój żywot, ja bez ciebie żyć nie mogę. Twój śmiech (a śmiejesz się tak często!) jest dla mnie milszą muzyką od najlepszej bandy regimentu austryackiego! Spać nie mogę, kawa mi nie smakuje, w resursie już miesiąc nie byłem. Nie byłem nawet na walnem zebraniu towarzystwa agronomicznego, bo cóż mnie dzisiaj turnips obchodzi! Ach, pozwól mi, choć chwilkę klęczyć u nóg twoich, całować złotem haftowany pantofelek....

Skończywszy, zapieczętował i przez najlepszego swego służącego odesłał do pani Piotrowej.

Za pół godziny z bijącem sercem rozrywał malutką pieczątkę i czytał: „Jutro, o piątej, po południu“.

Mimo szpakowatej już czupryny skoczył pan Michał do góry jak praktykant z buchhalteryi, najlepszego swego służącego wypchnął za drzwi, aby nie był świadkiem jego uniesień już nieco spóźnionych, i zaczął jak dziecko biegać po pokoju. Zapomniał o reumatyzmie, na który przed dwoma laty leczył się w Truskawcu, zapomniał o bladej, melancholijnej twarzy żony swojej!...

Nazajutrz o pół do piątej z południa zarzuciła pani Michałowa czarny, nieprzejrzysty welon na swoje oczy szafirowe i pospieszyła do pani Maciejowej,

— Kochana pani, nie odmówisz mi jednej przysługi. Piąty akt trajedyi mojej nadchodzi — bądź mi w nim towarzyszką. Pójdziemy do pani Piotrowej.

— Ach dla ciebie serce wszystko uczynię—poświęcę się — choć to potem ludzie strasznie wypytywać się będą, a ja tak nie lubię mówić!... terkotała pani Maciejowa, zasadzając kapelusz na głowę.

Za kilka chwil były już obie w saloniku pani Piotrowej.

— Paulino, zawołała tragicznie nieszczęśliwa, opuszczona małżonka, ocierając batystową chusteczką łzy z oczu, Paulino, tyś mnie zdradziła, tyś mi wzięła szczęście moje!... Oddaj mi, oddaj mi serce mego męża,... ja go tak kocham!... nawet dzisiaj, dzisiaj, gdy mnie porzucił!

Łzy nie pozwoliły już dalej mówić. Pani Maciejowa powąchała flakonik, bo słabo jej się zrobiło. Ileż to treści poda ta scena do gawędek herbacianych! Aż się słabo robi na taki ogrom!

Paulina uśmiechnęła się jak najniewinniejszy baranek, wzięła mdlejącą przyjaciółkę za rękę i rzekła:

— Dziecko jesteś moja droga. Cóż ci to do głowy strzeliło, że ja mam kochać twego męża? Że on głupstwa robi, że mi karmelki daje, że jak długi stoi przed oknami memi, cóż ja temu winna?... Ale zaczekaj.., ot właśnie idzie ulicą, pewnie tu wstąpi Niech panie idą do mego gabineciku, a będziecie słyszały, jaką mu lekcyę dam tutaj, Nie lękaj się o twoje szczęście, moja droga, napędzę go znowu do ciebie i do gorzelni.

Służący zapowiedział pana Michała. Piąta godzina wybiła. Obie panie skryły się szybko do przyległego pokoju. Pani Maciejowa powąchała znowu flakonik i rzekła w duchu do siebie: Miłosierny Boże, ileż to będzie do gadania o tem!

Pan Michał obejrzał się w koło, a widząc się sam na sam z piękną brunetką, zawołał:

— O pani! tyle szczęścia! Całe życie moje....

— Zaczekaj pan, przerwała mu piękna brunetka — szkoda słów.

Pan Michał cofnął się krok i zbladł.

— Tak mnie witasz pani?... wyjąknął.

— Bardzo grzecznie, nieprawdaż?... Zasłużyłeś pan, aby nie tracąc słów drzwi panu okazać.

— I cóż ja słyszę? bełkotał nieszczęśliwy kochanek.

— Słuchaj pan. Pomówmy szczerze i otwarcie. Pan masz żonę, masz piękną, ładną żonę, kochałeś ją, wiem o tem.

— Tak jest kochałem ją, ale kiedy ciebie, boska Paulino ujrzałem, już jej na oczy widzieć nie mogę! Tyś jako słońce, zgasiła blask tego bladego księżyca — ja go już dzisiaj nie widzę!

— Cha! cha! cha! Tak poetycznie!... Zkądże ja słońcem pana? Czy dałam kiedy panu powody....

— Szczerze i otwarcie mówiąc, nigdybym się sam nie był odważył do tego kroku. Postępowanie pani rozdmuchało tę iskrę w płomień gorejący i ośmieliło mnie. Te spojrzenia, te ściskania ręki, ten głos pieściwy, te półsłówka tyle znaczące!...

— Ach, jakżeś pan naiwny! zawołała z śmiechem piękna kobietka! Jak można sobie coś uroić! Cha, cha, cha — spojrzyj pan do zwierciadła! Czyż panu do twarzy podobne marzenia? Na głowie włos siwy, postać człowieka spokojnego, którego tylko gorzelnia i woły zajmują, żona młoda, ładna, kochająca... zaprawdę muszę wierzyć w jakiś czar — a przecież tak jasno i dobitnie odpisałam panu.

— Właśnie w tym słodkim liściku wyczytałem tyle...

— Śni się panu; jesteś obłąkany i nic więcej. Byłam grzeczną i wyrozumiałą na cudze głupstwa. Abyś się pan nie potrzebował przed światem wstydzić, nie zaszkodzi zawstydzić się trochę przed żoną, która tę całą rozmowę słucha.

Pani Piotrowa otworzyła drzwi od przyległego pokoju. Żona pana Michała i Maciejowa wypadły do salonu.

— Ach okrutny! niewierny! krzyczała pani Michałowa.

— Zgroza! wtórzyła pani Maciejowa.

— Pogódźcie się! wołała z szyderczem uśmiechem pani Piotrowa.

W kilka dni po tej scenie, przystąpił pan Michał do swojej żony i rzekł;

— Można się nawrócić, jeśli grzech nasz jest tajemnicą. Nieszczęsny wypadek odsłonił mój grzech przed tobą — między nami nie może już być miłości. Jestem szczery i otwarty — do udawania za szlachetny. Musimy się rozstać — dam ci przyzwoite utrzymanie.

Pani Michałowa płakała przez trzy dni — pani Maciejowa przez ten czas roznosiła po całem mieście okrutne postanowienie pana Michała — heroizm pani Piotrowej opłakany los nieszczęśliwej opuszczonej żony.

Pan Michał jak powiedział tak uczynił. Separował się z żoną i dał jej przyzwoite utrzymanie. Piękna, blada kobieta zamieszkała w Krakowie. Pan Karol także znudził sobie wieś i osiadł w mieście. Pan Michał wypuścił wieś w dzierżawę a sam wyjechał za granicę. Czarne oczka pani Piotrowej tak mu się wbiły w nerwy mózgowe, że ich na żaden sposób od siebie nie mógł odżegnać. Więdnął i sechł jak stara wierzba, a ludzie wygadywali na niego co się zowie. Wszyscy brali w opiekę biedną, nieszczęśliwą żonę. A gdy ktoś nawiasem wspomniał o panu Karolu, który zbyt częstym jest gościem u pani Piotrowej, zawołały chórem wszystkie matrony:

— Alboż to ona temu winna? Czyż biednej, tak haniebnie opuszczonej kobiecie nie wolno mieć kilka chwil szczęścia?

Ale pani Piotrowa innego była zdania co do losu pani Michałowej. Razu jednego żądając od przyjaciółki jakiejś przysługi, rzekła śród śmiechu i chichot:

— No moja duszko — r ę k a r ę k ę m y j e — za moją przysługę ja to muszę mieć.

I zapewnie dostała, czego pragnęła— i długo jeszcze wszelkim jej zachceniom stanie się zadość, póki pewnego pięknego poranku nie zabije ją — źwierciadło.

Oj to zwierciadło, zwierciadło!

A. THEINER — VETERA MONUMENTA

Poloniae et Lithuanie gentiumque finitimarum. Ex tabulariis vaticanis T. I. Romae 1860.

Ze skarbca stolicy apostolskiej doszło nas dzieło powyższe. Nie tu jednak miejsce rozbiorowi jego, nie tu nawet podaniu krótkiej treści. Treść bowiem 788 wielkich foliantowych stronnic wiarogodnych dokumentów nie da się ująć w kilkanaście wierszów. A jakichże to rozmiarów nie wymaga krytyka jego! Nam zależy jedynie na rozprzestrzenieniu wieści o tak cennym historycznym nabytku, na daniu czytelnikom naszym bogdaj pobieżnego o nim wyobrażenia.

Sam tytuł jest już dostateczną rękojmią ważności całego dzieła. Treść jego odnosi się do wieków średnich, do czasów, kiedy stolica apostolska tak przeważną rolę w politycznem życiu wszystkich prawie europejskich narodów grała. A Polskę wiązały także bardzo ważne w swych następstwach stosunki z Rzymem. Wierna służebnica kościoła, była ona oraz korną zawsze sługą wyroków jego głowy. Z równem uszanowaniem przyjmowano w naszej ojczyźnie błogosławieństwo jak i wyrazy groźnej kary ojca św. Ta powolność oddziaływała nazbyt doraźnie na rozwój kraju. Owszem ileżto razy powodem klęski polskiej nie stał się grom wyroku papiezkiego! Wówczas bowiem czasy były insze, wyobrażenia i dążności narodów insze.

Toż dziś, kiedy owe dziwne czasy ujął już całun przeszłości, kiedy na ich grobach rozrosły się cale pierwotnemu obrazowi sprzeczne stosunki, kiedy nasiona czynów tamtoczesnych dojrzały w nigdy prawdopodobnie niespodziewane owoce, dziś już zaiste wielki czas zbadać pierwiastki dróg naszych.

Tylko takie wglądnięcie przywiedzie nas do świadomości niniejszego stanowiska. Insza jeszcze narodom lśniącym w blasku życia i fortuny. Te rozświecą im snadniej drogę żywota. Insza zaś ślepcom popchniętym nieludzko na bezdroże. Jak unikną oni zbłąkania jeśli nie przypomnieniem sobie ścieżek, któremi w młodości chodzili? Jak ujdą szwanku gdy nie przypomną zawad o które nieraz boleśnie się ranili? Czyż my w dzisiejszej chwili politycznego bytu nie ślepcami?

Smutne to, bolesne słowo ale — prawdziwe. Któż wie, kiedy zejdzie nasze słońce które nam rozjaśni drogi przyszłości. W teraźniejszym pomroku jesteśmy zaiste chwilowymi ślepcami. Toż czas nam zastanowić się nad własnem życiem. Życiem zaś narodu jest jego historya. W niej jedynie potrafi on zaczerpnąć maxymy zbawienne na dalszy ciąg żywota.

Znane to jednak rzeczy a cisnące się w pamięć na widok każdego ważnego zabytku z przeszłości. Do takich zaś wypada koniecznie zaliczyć wyżej pomienione dzieło. Składa się ono prawie wyłącznie z listów papiezkich bezpośrednio dotyczących historyę polską. Obejmuje niespełna dwa wieki od r. 1217 - 1409, rządy 25 ojców św. od Honoryusza III do Grzegorza XII.

1058 dokumentów zawiera tom pierwszy. W przedmowie zaś ubolewa wydawca na znaczne defekta, które „niestałością fortuny i czasu różnych klęsk w wielkiej części zaginęły.“ Jakoż niejednokrotnie przychodzi nam wraz z wydawcą „opłakiwać“ podobne straty. Oto n. p. z tak ważnych czasów Jadwigi nie ma tu ani jednego listu bądź to ze znanych kilku a do niej samej pisanych, bądź z dotyczących jej pośrednio. Owszem takaż strata spotyka nas przy pierwszych kilkunastu leciech panowania Jagiełły. O tym monarsze nazbyt nieliczne znajdujemy tu wzmianki.

Za to mnóstwo listów dotyczących spraw duchownych. Jak najdokładniejsze daty o zmianach piastunów co znaczniejszych godności, o sporach, nieporozumieniach, beneficyach słowem najdrobniejszych szczegółach historyi kościelnej w Polsce. Dalej wiele listów do różnych znakomitości świeckich bądź to o sprawach publicznych bądź o prywatnych. Ostatnich lat kilkanaście przepełniono samemi prawie „urgensami“ o należytości świętopietrza.

Oczywiście i chronologiczne przerwy nierzadkie tu. Gdy czasami pod jednym rokiem kilkanaście lub więcej bywa listów, to nie zbywa na przerwach kilkuletnich. Powtarzają się one szczególniej przy zmianach papieżów.

Zato ileż tu nieznanych szczegółów, ile charakterystycznych rysów. Gdzieżby można dokładniej poznać sto-

sunki kraju naszego i monarchów do stolicy apostolskiej, wszystkie odcienia stanowiska duchowieństwa i jego władzy do kraju. Trzymało ono jak wiadomo pierwsze miejsce tamże, lecz tu dopiero poznać możemy jak ważna była ta upozycya. Nie było wypadku w któremby duchowieństwo udziału owszem głównej sprawy nie miało. Zaś niby najwyższym trubunałem wszelkich wydarzeń, spraw wszelkich, był narodowi Rzym. Zatoż jakie lamenta nie słuchamy gdy który z dostojniejszych królów naszych zapragnął więcej samoistności. Więc skargi wyniosłych świeczników duchownych bo godność ich uszczuplana, gdy król mniej zważa na tak dostojną radę, więc kłótnie, lamenta, a w końcu pośrednictwo — legata papiezkiego. Duchowieństwo nasze bywało więcej rzymskiem jak polskiem. A w takiem rozdwojeniu dążności i celów gdzież możność rozwoju wewnętrznego na podstawie najściślejszej spólności. Tak bywało czasami w onych zamierzchłych wiekach.

Słuszna jeszcze zastanowić się cokolwiek nad przedmową do dzieła. Szanowny wydawca wspomina najpierw przyjaźnie o zasłudze narodu naszego względem całej Europy i chrześcijaństwa. „Uwolnił on nieraz“ — są jego słowa — „zachod od srogiej niewoli tureckiej. Pominąwszy dawniejsze czasy niechby tylko przypomnieć sobie obronę Wiednia“. Miło też tylokrotnie najnienawistniej krzywdzonym bogdaj z takiem uznaniem spotkać się pod pięknem, włoskiem niebem.

W końcu oddaje wydawca publiczną podziękę ziomkom naszym, którzy mu przy wydaniu tego dzieła chętliwą pomocą się przysłużyli. Spotykamy najpierw imiona Alexandra Przezdzieckieęo i Jana Koźmiana. To najwalniejsze podpory przedsięwzięcia wydawcy. Prócz nich powtarzamy chętnie dłuższy szereg zacnych wspieraczy a miłych nam ziomków. Są nimi Tadeusz ks. Lubomirski, Alexander Branicki, Włodzimierz Broel-Plater, Ludwik Krasiński, Władysław Małachowski, Rajnold Tyzenhaus, Edward Rastawiecki, Ludwik Hórski, Ignacy Komar, Jan Lawisza, Henryk Prendowski wreszcie pani Hortenzya Sobańska.

Przy dalszych względach szlachetnych rodaków naszych ma wydawca nadzieję wydać dalsze tomy monumentów, obejmujących czasy aż do Jana Sobieskiego. Monumenta z czasów tego króla zostaną w dwóch osobnych zebrane voluminach.

2

Obrona Krakowa.

23 listopada 1587 roku.

Jesteśmy w czasach przedkoronacyjnych Zygmunta III. Obrany przez cały prawie naród, powstrzymywany od wyjazdu przez ojca, nie marzył zda się nawet młody Zygmunt jak groźnego we wnętrzu Polski miał nieprzyjaciela. Był nim arcyksiążę austryacki Maxymilian, od lat kilkunastu najgorliwszy pretendent do korony polskiej. Nie uszla też jego baczności żadna chwila stosowna do ponowienia starań. Nie zaniedbał więc także czasu bezkrólewia po śmierci Stefana. Owszem zjednawszy sobie przeróżnemi środkami niewielu zwolenników, ogłosił się Maxymilian królem polskim. Na czele własnego żołnierstwa, w towarzystwie swych nielicznych sprzymierzeńców polskich, ruszył arcyksiąże po ogólne uznanie do Polski.

A zdarzyło się, iż wcale fortunne spotkały go wypadki. Jużto najpierw mimo „upomnień i prośb“ Polaków aby precz odjechał, „bowiem Zygmunta królewica szwedzkiego wszystkie prawie stany za pana sobie wzięły, którego odstąpić żadną miarą nie mogą,“ narzucał się im Maxymilian nieustannie, a nawet postanowił orężem wymusić sobie przychylność. I z niemałym smutkiem stało się poniekąd jak zamierzał. Nie mogąc się doczekać przybycia Zygmuntowego a trapiona ciągle przez arcyksięcia, przyłączała się szlachta coraz liczniej do jego orszaku. Brak ścisłej łączni w narodzie zbliżał go nieznacznie nad przepaść. Maxymilian rozgaszczał się na piękne w Polsce. Germania spoglądała coraz weselej i pewniej na bliski łup. Jako taki bowiem poczytywała ona w starożytnem pożądaniu naszą ojczyznę. Słowem cała sprawa zbliżała się do smutnego wielce rozwiązania.

Tymczasem w chwili powodzeń dla arcyksięcia zbliżał się w drugiej już połowie listopada pomienionego roku powolną podróżą Zygmunt krewniak Jagiellonów, dziś przez Polaków ich następcą obrany do Polski. Na pospiechu zaś zależało wszystko. Wiedział o tem dobrze Maxymilian, jak wiedział dokładnie, iż wymógłszy sobie koronacyą a jakie takie uznanie siebie monarchą, potrafi daleko bezpieczniej stawić czoło spółzawodnikowi. Niewiele też brakło Niemieczczyźnie do zwycięztwa, niewiele Polsce do przyszłej niedoli. Szło zaś właściwie tylko o Kraków, zwykłe miejsce obrzędów koronacyjnych. W tym starożytnym grodzie pragnął Maxymilian odbyć swą koronacyą, i dla tego podążył tam niespodziewając się prawdopodobnie losu, jaki go w pobliżu mogiły Wandy oczekiwał.

Zgotował mu zaś takowy wielki hetman Zamojski. Słysząc o nadciągającym ku Krakowu Maxymilianie, ujrzał tylokrotny obrońca Polski zbliżającą się chwilę stanowczego czynu. Więc zebrawszy garstkę rycerzy postanowił bronić stolicy.

23 listopada stanął Maxymilian pod Krakowem. We mgle porannej spotkały się przednie roty niemieckie z kilku hufcami polskimi. Wszczęła się utarczka nieszczęśliwie dla naszych za nadejściem samego Maxymiliana zakończona. Wyparli ich Niemcy z przed murów i poczęli dobywać szewskiej bramy. Co widząc hetman Zamojski chwycił za sztandar i krzyknąwszy na swoich rzucił się w najgęstszy tłum nieprzyjaciół.

Ciężki bój zawrzał na całem polu. Pomimo waleczności ujrzeli się wkrótce Polacy w wielkiem niebezpieczeństwie pod naciskiem nieskończenie liczniejszych nieprzyjacioł. Wtedy stanęło samo miasto w obronie swej wolności. Wszystkie cechy wyruszyły w pole. Świetnym dla najpóźniejszych pokoleń przykładem ruszyła nawet „wielka szkoła“, akademia Kazimierza W. i Jadwigi do boju. Pod dowództwem samychże nauczycieli walczyła młodzież akademicka przeciw wrogiemu zawsze Polsce Teutonizmowi. Walczyła ona w ciągu długich wieków spółzawodnictwem w naukach, i cały żywot jej przeznaczony do tej walki na kresach oj-

czyzny naszej. Dziś pokazała ona jeszcze jak w czasie gwałtownej potrzeby potrafi walczyć i żelaznym orężem. Dzięki też takiej rycerskości przyszłych apostołów światła w dawnej Polsce, dzięki zacnemu zawsze mieszczaństwu krakowskiemu wzniósł się wkrótce zwycięzko orzeł biały nad starożytną siedzibą polskiego majestatu. Miłe to zaiste sercom naszym wspomnienie, zacny przykład najpóźniejszym nawet wiekom.

B. K.

Przyczynienie się papieżów do wygaśnięcia linii piastowskiej i jagiellońskiej. — Pomimo przyjaźnych najczęściej stosunków naszej ojczyzny z Rzymem, pomimo wiernego zawsze służebnictwa Polski względem kościoła rzymskiego, spływały niejednokrotnie wyroki apostolskie nader ciężkiem brzemieniem na kraj. Dość np. zauważyć przykład wpłynięcia papieżów na wygaśnięcie obu wyżej wzmiankowanych a najgłówniejszych dynastyj monarchów polskich. Ostatni Piast, Kazimierz Wielki, błogiej pamięci organizator i odnowiciel Polski, nie miał goretszego życzenia jak zostawić po sobie potomka, którýby dzieło ojcowskie przedsięwziętą poprowadził drogą. Tymczasem losy nie sprzyjały żądaniu królewskiemu, które wraz z latami, z zbliżającym się kresem życia urastało w szczególną gorliwość. Gorliwość ta zaś nie kwadrowała zgoła zamysłom siostrzeńca Kazimierzowego Ludwika i jego pobratymcom Luxemburczykom i Rakoszaninom. Jak Kazimierz pragnął niedawno od wpływu obcego oswobodzoną Polskę pozostawić i ugruntować w samodzielności, tak xiążętom owym uśmiechała się miła nadzieja łupu z tegoż kraju po bezpotomnem zejściu Kazimierza. Szło tylko o osiągnięcie przewagi w teraźniejszych zabiegach. Ożeniony z niemiłą sobie i bezpłodną xiężniczką heską Adelajdą Kazimierz począł starania o rozwód. Potężniejsze wpływy germańskie udaremniły u papieża prośbę Kazimierzową. Nie pomogło nawet wstawienie się wielce od papieża poważanego króla Ludwika i własnej siostry Kazimierzowej Elżbiety węgierskiej (Theiner Hungaria Sacra II. 79. 80). Kazimierzowi odmówiła stolica apostolska stanowczo rozwodu, stanowczo urzeczywistnienia najzbawienniejszych względem Polski zamiarów. Rozsierdzony król posunął się do gwałtowniejszego a w tamtych czasach rzadkiego kroku. Odepchnąwszy Adelaidę pojął nową małżonkę. Cóż to jednak pomogło. Urodzone z tego nieprawego małżeństwa córki odtrącił sam naród od tronu, a po śmierci Kazimierza wszczął się przewidywany przezeń dłuższy przeciąg klęsk i nieładu w Polsce.

Toż samo powtórzyło się z ostatnim Jagiellonem, mądrym Zygmuntem Augustem. Stosunek ówczesny malują najlepiej słowa listu królewskiego, pisanego do szwagra elektora brandeburgskiego, by się przyłożył do wyjednania mu rozwodu z niemiłą i niepłodną małżonką Katarzyną, siostrą cesarza Maxymiliana II. „Wszystko na tem zależy“ — pisze król — „abym mógł mieć syna. Inaczej potęga Polski, wielce nadwątlona, upadnie, a zapóźno poznają narody i państwa sąsiednie, że silna, zgodna Polska jest ich przedmurzem od Moskwy.“ (Mosbach Wiadomości do dziejów Polskich str. VI.) Lecz istotnie za późno poznały to owe narody. Cesarz Maxymilian miał wcale insze zamiary. Więc mimo mądrych słów Augusta wymożono na papieżu stanowcze wzbronienie rozwodu. Ten krok przyprawił Augusta jak niegdyś Kazimierza W. o niesławę niemoralnego życia domowego, a Polskę o nowe pasmo wielkich klęsk. W roku zaś 1772 ozwały się słowa Zygmunta straszliwym w dziejach echem.

Kronika literacka i artystycz.

— Mieczysław Romanowski, którego już pierwsze prace poetyczne o tak niepospolitym świadczyły talencie, przystąpił obecnie do dzieła na większy zakres. Na tle jednego z naszych najstarożytniejszych podań dziejowych pisze wielki dramat pięcioaktowy wierszem rymowym. Mieliśmy sposobność słyszeć pojedyńcze z niego ustępy i możemy śmiało powiedzieć, że jeżeli całość artystycznej budowy i przeprowadzenia charakterów odpowie godnie tym prześlicznym urywkom, będzie to utwor znakomitej wartości, którym naprawdę będzie się mogła pochlubić nasza literatura dramatyczna. Wiadomo, że młody poeta próbuje się obecnie i na polu powieściarskiem, rozpocząwszy właśnie druk jednotomowej powieści pod n. *Projekta.*

— Dość liczne grono młodzieży polskiej, przebywającej na uniwersytecie berlińskiem zamierza od nowego roku wydawać własnemi siłami i własnym nakładem pismo miesięczne pod nazwą: „Znicz“. Za program niejako ma posłużyć niedrukowany jeszcze wiersz Mieczysława Romanowskiego: *Audaces fortuna juvat!*

— Tutejszy świat artystyczny poniósł świeżą stratę. Znany w całym kraju jako niezrównany portrecista malarz Alojzy Rajchan rozstał się ze światem w 55 roku życia. W jednym z następujących numerów *Kółka* poświęcimy mu dłuższy artykuł, na jaki zasługuje stanowisko zmarłego w dziedzinie sztuki ojczystej.

— P. Julian Wilkoszewski, niedawno ulubieniec naszej sceny, dziś artysta teatrów warszawskich, przybywszy przed kilkunastu dniami do Lwowa, wystąpił w trzech rolach gościnnych i we wszystkich przypomniał się z zwykłem sobie powodzeniem licznym wielbicielom i zwolenników swego prawdziwego talentu. Pan Wilkoszewski jest jednym z tych niewielu młodych artystów, którzy obok wybitnych zdolności, szczerego zamiłowania sztuki i obok potrzebnych przymiotów powierzchowności łączy także odpowiednie wykształcenie umysłowe. Znalazłszy tak serdeczne na nszej scenie przyjęcie i tak ogólne uznanie, powienby nie opuszczać nas więcej; nie wątpimy bowiem, że dyrekcya uznając zarówno wyraźne życzenia publiczności jak i rzeczywistą potrzebę sceny, przyłoży wszelkich starań, aby go pozyskać na zawsze. W dzisiejszym składzie naszego towarzystwa dramatycznego nie potrafi nikt zastąpić p. Wilkoszewskiego w wielu, bardzo wielu rolach.

— W piątek przedstawiona będzie na tutejszej scenie po raz pierwszy konkursowa komedya Józefa Korzeniowskiego *Majątek albo Imię.* — Nareście!

Dostaliśmy następujące oświadczenie:

Z widowiska danego na dniu 31 października r. b. na fundusz pomnika dla ś. p. Jana N. Kamińskiego, połowa dochodu po odtrąceniu dziennych wydatków uczyniła 347 reńs. 84 cent. w. aus. Kwotę tę złożyliśmy w galicyjskiej kasie oszczędności, aż dopóki komitet z szanownych i zaufania godnych mężów nią stosownie do zamierzonego celu nie rozporządzi.

Lwów dnia 11 listopada 1860.

Witalis Smochowski. Jan Nep. Nowakowski.

Z powodów od redakcyi zupełnie niezależnych musiała w składzie artykułów dzisiejszego numeru Kółka zajść zmiana nieodzowna, przez co wydanie dziennika spóżniło się o dzień cały.

Wydawcy i dpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.